

Refleksje

Раздумия

Jacek Brezko

Dwa tysiące sześćsetletni poród. Zmierzch czy świt filozofii?

*Двухтысячешестисотлетние родовые схватки.
Закат или рассвет философии?*

O jaki poród tutaj chodzi? I dlaczego trwa tak długo? Otóż chodzi tutaj o poród prawdy przez wielkie „P”, prawdy scalającej i rozświetlającej sens całości (*nomos, episteme*). Filozofia w swym wydaniu maksymalistycznym (metafizyka) próbuje taką prawdę urodzić. Próbuje dociec istoty, ostatecznej i pewnej prawdy o wszystkim. Jest to, inaczej mówiąc, próba odpowiedzi na taki oto zestaw pytań (zacznę od najogólniejszego): „Jak to jest z tym wszystkim?”, „O co w tym wszystkim chodzi?”, „Co się za tym kryje?”, „Jaki jest sens tego wszystkiego?”, „Jaka jest tajemnica istnienia?”. Bliski jest mi pogląd, że owa próba zrozumienia całości prowadzi ostatecznie do pytania o „sens”. Jeśli bowiem tego sensu nie ma, to i rozumienia (przez duże „R”) nie ma. Coś tam wyjaśniamy, coś tam „chwytamy”, jakieś fragmenty, ale nie prowadzi to do znaczących uogólnień, a zatem nie rozumiemy, nie pojmujemy¹. Czas trwania porodu bierze się zaś stąd, że w okolicach roku 2010 wypada najpewniej dwudziesta szósta rocznica (licząc w stuleciach) pojawienia się pomysłu Talesa, że za ową ogromną różnorodnością i zmiennością świata kryje się coś jednego, jeden budulec i tym budulcem jest woda (czy też raczej wiecznie falujący i zyciorodny praocean).

Poglądy dotyczące natury tego porodu (prawdy przez filozofię) i szans jego powodzenia są różne. Spróbuję naszkicować główne stanowiska.

¹ Poprzestawanie na prawdach nauk szczegółowych Isaac Bashevis Singer porównywał do picia słonej wody.

Stanowisko najbardziej skrajne, sceptyczne to pogląd, że żadnej takiej prawdy nie ma. Zwolennicy tego poglądu mogliby powiedzieć, że poród owej wielkiej prawdy nigdy nie nastąpi, albowiem ciąża jest urojona. W ramach tego stanowiska mamy różne warianty. Wariant najbardziej bodaj skrajny to pogląd, że świata nie ma. Czyli różne odmiany solipsyzmu (a wśród tych odmian najbardziej skrajna; że świat jest snem i śniący jest snem; świat jest snem bez śniącego; ja śniące jest również snem, strumieniem wrażeń bez substancjalnego fundamentu). Wariant mniej skrajny to pogląd, że świat jest, ale nie ma sensu. Świat jest, na przykład, odwiecznym wirem atomowym i żadna głębsza prawda się za tym nie kryje (ewentualnie – od strony podmiotowej – świat jest bezkształtnym strumieniem, tylko my lepimy z niego jakieś sensowne całości, nie są one jednak cechą świata, ale naszym wtrętem). Mottem owych skrajnych sceptyków mogłoby być stwierdzenie Wittgensteina: „Wielka zagadka nie istnieje”². Albo, w innym wariantcie: „Nie ma żadnych «zagadek świata»”³. Kojarzy mi się z tym również piękna fraza Stachury: „Największa tajemnica jest ta, że nie ma żadnej tajemnicy”⁴.

Kolejne stanowisko to pogląd, że prawda jest, ale jest nam niedostępna. Świat jest i ma sens, ma ową głębszą prawdę, ale ta prawda jest tak głęboka, ten sens jest tak złożony, że całkowicie przekracza nasze możliwości poznawcze. Nie jesteśmy w stanie go pojąć, tak jak pies nie jest w stanie pojąć sonetu (albo, jak w wierszu Miłosza, chomik baletu). Ciąża nie jest zatem urojona, ale poród nigdy się nie odbędzie. Mottem do tego poglądu mogłoby być inne stwierdzenie Wittgensteina: „Sens świata musi leżeć poza nim (...). Albowiem wszystko, co się dzieje i faktycznie istnieje, jest przypadkowe. To, co czyni je nieprzypadkowym, nie może znajdować się w świecie, gdyż wtedy byłoby znowu przypadkowe. Musi znajdować się poza światem”⁵. A jako że – jego zdaniem – język nadaje się do mówienia tylko o tym, co znajduje się w świecie (o faktach), o tym co najważniejsze (o owym sensie) można tylko milczeć. Mamy zatem gradację sceptycyzmu. Jedni – najbardziej radykalni sceptycy – powiadają, że „świata nie ma”, inni, że „świat jest, ale nie ma sensu”, jeszcze inni, że „świat ma sens, ale ten sens jest dla nas niedostępny”⁶. Wittgenstein, co odnotowuję na marginesie, to ciekawy przypadek; w *Traktacie* bowiem można odnaleźć owe trzy poglądy sąsiadujące ze sobą i podane w formie prawd ostatecznych.

² L. Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, 6.5.

³ Por. M. Schlick, *Nowa filozofia doświadczenia*, [w:] H. Buczyńska, *Koło wiedeńskie*, Warszawa 1960, s. 123.

⁴ E. Stachura, *Fabula rasa*, Warszawa 1982, s. 11.

⁵ L. Wittgenstein, *Tractatus ...*, 6.41.

⁶ Krzysztof J. Kilian w swoim referacie proponował tych, którzy głoszą nieistnienie prawdy, nazywać nihilistami, tych zaś, którzy powiadają, że prawda jest, ale jest poza naszym zasięgiem, sceptykami.

Wszystkie powyższe stanowiska można zaliczyć do nurtu antyfilozofii. Filozofia jako rodzenie prawdy, jako szukanie sensu, jest zajęciem jałowym, niemającym szans na spełnienie. Współcześnie – jak zauważył Leszek Kołakowski – „mnogość różnorodnych filozoficznych ścieżek zbiega się w jednym punkcie – antyfilozofii”. „To żegnanie filozofii nie ma końca” – dodaje⁷. Głosi się śmierć filozofii, a szczególnie koniec metafizyki, i to głoszenie śmierci staje się formą jej życia. Marne to jednak życie. Należy zresztą odnotować różne podstrategie. Jedni powiadają, że należy konsekwentnie zaprzestać jej uprawiania, wyrugować ze swojego języka tak zwane „odwieczne pytania”, pytania metafizyczne i egzystencjalne, oraz zapomnieć odpowiedzi na nie (na przykład Koło Wiedeńskie). Inni powiadają, że skoro te pytania nas prześladują (nawiedza nas na przykład poczucie dziwności istnienia, i spać nie daje), to trzeba w celach terapeutycznych te pytania zagadać (ze świadomością, że gada się nonsensy). Wittgenstein pisze, że skoro nas swędzi, to trzeba się drapać⁸. Posługując się zaś metaforą porodu, można by powiedzieć (proszę wybaczyć drastyczność obrazu): mimo że ciąża jest urojona, to jak są skurcze, to trzeba przeć. Jeszcze inni powiadają, że można uprawiać filozofię dla przyjemności. Jest to mianowicie podróż, którą się odbywa dla niej samej.

Po przeciwnej stronie mamy tych, którzy nie tylko wierzą w prawdę, ale też sądzą, że owa prawda została odkryta. Poród zatem już się odbył, ale nie wszyscy to dostrzegli. W tej wersji poród trwał nie 2600 lat, ale krócej. Jeśli prawda zawarta jest w pismach św. Tomasza, poród trwał mniej więcej 1850 lat. Jeśli prawda jest zawarta w pismach Spinozy, poród trwał 2250 lat. Jeśli prawda zawarta jest w pismach Hegla, poród trwał ponad 2400 lat, jeśli zaś w pismach Marksa, trwał około 2450 lat. Owi wierzący mogliby powtarzać za świętym Pawłem: „Po cóż nam ciekawość po Tomaszu?”, „Po cóż nam ciekawość po Spinozie?”, „Po cóż nam ciekawość po Heglu?”, „Po cóż nam ciekawość po Marksie?”. I tak dalej. Po jednej stronie mamy więc mniej lub bardziej radykalnych sceptyków, po drugiej dogmatyków. Jednych i drugich łączy pewność, pewność co do nieistnienia lub istnienia prawdy.

Czy jest coś pośrodku? Czy jest jakiś stanowisko pośrednie? Sądzę, że tak. Pośrodku mamy poszukiwaczy, metafizycznych niedowiarków (określenie Miłosza), czy też, inaczej mówiąc, sokrateików (wiem, że nic nie wiem, ale mam, że jest coś do wiedzenia). Ich stanowisko można by sformułować tak: prawda raczej jest, nie została dotąd odkryta i nie jest na pewno nam niedostępna. Nie jest na pewno nam dostępna, ale też nie jest na pewno nam niedostępna. Poród zatem – przynajmniej, jeśli tak można powiedzieć, w całości – dotąd się nie odbył, ale ciąża być może nie jest ani urojona, ani płód nie jest na pewno na zawsze zakleszczony w łonie bytu. Poszukiwacze nie wychodziliby na poszuki-

⁷ L. Kołakowski, *Horror metaphysicus*, Warszawa 1990, s. 14.

⁸ Por. L. Wittgenstein, *Uwagi o religii i etyce*, Kraków 1995, s. 206.

wania, gdyby wiedzieli, że to coś jest już znalezione albo że nie ma czego szukać. Filozofia nie jest zatem ani działalnością beznadziejną, ani skończoną. A skoro nie jest skończona, to może jest ledwie zaczęta. Może filozofia jest na początku poszukiwań? Być może owe 2600 lat z punktu widzenia celu, jaki zamierza osiągnąć, to czas krótki. Być może zatem dotychczasowe dzieje filozofii to zaledwie wstęp. Wyobrażam sobie, jak po upływie kolejnych dwudziestu sześciu wieków (a zatem w okolicach roku 4010) studenci filozofii będą z ironią spoglądać na teksty XX-wiecznych ironistów głoszących koniec poszukiwań zasadniczych, koniec „wielkich narracji”, koniec filozofii. Tekst niniejszy nie należy zatem do nurtu antyfilozofii, przeciwnie należy do nurtu profilozofii. Proponuję zatem odmienny, nie schyłkowy, pryzmat. Proponuję rozważyć myśl, że filozofia jest młoda, że jesteśmy nie na końcu drogi, a na jej początku, że mamy do czynienia nie ze zmierzchem, ale ze świtem filozofii. Na czym opieram tę nadzieję? Chciałbym przedstawić trzy argumenty.

1. Ów rzucający się w oczy kryzys filozofii, owe powtarzające się głosy o jej końcu są związane z nowożytnym obrazem świata: z obrazem kosmosu nieskończonego w czasie i przestrzeni. Oto mamy „w nieskończonej przestrzeni miliardy kul ognistych” od zawsze świecących. Ten światoo obraz uszkadzał filozofię, bo „wypłukiwał” z niej zdziwienie, a szczególnie „zdziwienie metafizyczne”; czyli, jak to Witkacy nazywał, „metafizyczne poczucie dziwności istnienia”. Zdziwienie to jest, jak sądzę, samym centrum jej napędu. Gdy zanika, gdy przestaje przenikać filozofię, filozofia usycha. Skoro zaś świat jest wszędzie, i jest od zawsze, to zdziwienie „że jest”, staje się rodzajem aberracji, choroby, natręctwa, jak *déjà vu*. To, co jest, było zawsze, więc nie ma się czemu dziwić. Zdziwienie to traci jakąkolwiek podstawę. Ani w czasie, ani w przestrzeni nie znajduje żadnej luki, przez którą mogłoby się precyzyzować. Obraz odwiecznego, nieskończonego i stałego kosmosu emanuje rutyną i nudą: „jest jak jest”, „jest normalnie”. Na szczęście (dla filozofii) ten obraz okazał się fałszywy.

2. Inny rytm. Być może w świecie nauk jest podobnie jak w przyrodzie, gdzie jedne zwierzęta żyją krótko (ale ich serca biją szybko), a inne długo (ale ich serca biją wolno) i nie można – myśląc o ich życiu – liczyć obrotu Ziemi wokół Słońca w ten sam sposób; dla jednych bowiem to duża część życia, a nawet całe życie, dla innych drobny ułamek życia. A zatem są może nauki mające krótki żywot, rozwijające się błyskawicznie i dochodzące do swojej entelechii stosunkowo szybko i są nauki rozwijające się wolniej. Postęp tych pierwszych rzuca się w oczy, kiedy jednak dziedzina jest zagospodarowana, nauka zamienia się w skamielinę, zaś postęp tych innych jest mniej widoczny. Rytm filozofii wydaje się najwolniejszy. Pojawia się w niej co najwyżej kilka istotnych pomysłów na stulecie, a są stulecia pozbawione pomysłów. Istotny więc rytm filozofii, puls filozofii, „uderzenia jej serca”, nie jest liczony w dniach, miesiącach, a w dziesięcioleciach i stuleciach. Stąd wrażenie kręcenia się w kółko, błędzenia, braku postępu.

Dlaczego filozofowie, zarówno obecnie, jak i w czasach Cyncerona, spierają się ciągle bez ostatecznych wyników, wykonując nieustannie te same dialektyczne kręgi, nigdy nie przekonując się nawzajem do swoich poglądów, choć stale potrafią zainteresować studentów?⁹

Można by odpowiedzieć, że świadomość kręcenia się w kółko jest również jakimś postępem. Nie tylko to jednak. Za każdym obrotem – o ile wykonujemy go z należytą uwagą – dostrzegamy jakieś nowe rzeczy, jakieś inne połączenia. Dostrzegamy pejzaż, zaułek, powiązanie, które nam uprzednio umknęło i nagle dostrzegamy (niczym w letniej błyskawicy) nowy obraz problemu, filozofa, epoki, a nawet całej filozofii. Nie jest to zatem krążenie, jest to raczej ruch po spirali. A to nie wyklucza postępu. Wspominam o kołach i przychodzi mi na myśl również inna metafora. Filozofia to może największe koło nauki, koło zamachowe, inne nauki to kółka, im węższa dziedzina, tym szybciej się kręci. Ruch koła filozofii (postęp w filozofii) jest ledwie widoczny. A inne wirują nieraz z niezwykłą szybkością. Nie można więc wykluczyć, że filozofia jest na początku drogi, mimo że zaczęła pierwsza. Jest to koło największe, i dlatego wykonało mało obrotów¹⁰.

3. Wizja filozofocentryczna. Filozofia jest jednym z istotnych składników cywilizacji europejskiej, zachodniej. Jest nie tylko częścią jej fundamentu, jej przeszłości (obok tradycji judeochrześcijańskiej i prawa rzymskiego), ale jest warunkiem koniecznym jej istnienia. Bez filozofii cywilizacja zachodnia zmieni się jakościowo, przestanie być sobą. Mamy tutaj zresztą więź obustronną. Śmierć cywilizacji zachodniej oznacza również, jak mi się wydaje, śmierć filozofii. Czy nasza cywilizacja może przetrwać śmierć filozofii? Czy filozofia może przetrwać śmierć naszej cywilizacji?¹¹. Na obydwa pytania odpowiadam: raczej nie. Skoro zatem uchwycimy (co prawda tylko roboczo i hipotetycznie) ową istotną więź między cywilizacją Zachodu a filozofią, czyli symbiozę, obustronną

⁹ R. Rorty, *Habermas, Rorty, Kolakowski. Stan filozofii współczesnej*, Warszawa 1996, s. 55.

¹⁰ Muszę przyznać, że ten obraz zawierający wizję powiązania rozwoju filozofii i rozwoju nauk szczegółowych zaczerpnąłem od Husserla. Filozofia z jednej strony i nauki szczegółowe z drugiej są w znacznym stopniu autonomiczne, ale nie do końca. Jest między nimi więź, więź ta nie rzuca się w oczy, ale w dłuższej perspektywie jest ważna. Zdaniem Husserla jest ona kluczowa, decydująca o wszystkim.

¹¹ Rzecz wymaga, oczywiście, rozwinięcia, uzasadnienia. Tutaj jednak tylko kilka słów. Proponuję eksperyment myślowy: „Co by było gdyby było”. Gdyby tajemniczy potwór, demon złośliwy (albo wirus jakiś) zniszczył całą ludzkość i zachował tylko fragment świata najmniej kulturowo „zwesternizowanego”. Na przykład Koreę Północną albo kilka najbardziej religijnych powiatów w Iranie. Czy po takiej katastrofie filozofia by się odrodziła? Twierdzę, że raczej nie. A gdyby ten demon albo wirus złośliwy uśmiercił wszystkich ludzi zamieszkujących krainy szeroko rozumianego Zachodu, którzy mają w sobie choćby niewielką skłonność do zadawania pytań zasadniczych i zostawił tylko osobowości przyziemne i umysły techniczne, czy Zachód by przetrwał? Sądzę, że raczej nie.

zależność, o młodości bądź starości jednej części świadczyć będzie młodość bądź starość drugiej części. Skoro niewiadomą jest tutaj kondycja filozofii, powinniśmy sprawdzić powiązaną z nią (może łatwiej uchwytną) kondycję cywilizacji zachodniej. Natykamy się w ten sposób na liczne – szczególnie w pierwszej połowie XX wieku – wizje apokaliptyczne, katastroficzne, wizje końca Zachodu, gnicia Zachodu, zmięzchu Zachodu, śmierci Zachodu. Owe ponure przeczucia, prognozy wydawały się mieć podstawy. Jakie państwo w XIX wieku ośmieliłoby się organizować tortury? XX-wieczne totalitaryzmy, zniszczona po drugiej wojnie Europa, zburzone miasta wydawały się dla wielu ostatnimi konwulsjami tej cywilizacji; były to jej przedśmiertne dreszcze. Czy te ponure prognozy, proroctwa są nadal aktualne?¹² Gdy patrzymy na to z pewnego oddalenia, przekroczywszy próg XXI wieku, prognozy te wydają się nie tylko przesadzane, ale nawet histeryczne. Miasta są odbudowane, porządek demokratyczny i poszanowanie dla praw człowieka, które były wyjątkiem w Europie pod koniec lat trzydziestych, stały się regułą. Może zatem nie były do dreszcze przedśmiertne, ale dreszcze młodzieńcze, młodzieńczy kryzys, okres młodzieńczego buntu przeciw korzeniom, przeciw fundamentom. Młodość chmurna i durna. W sferze filozofii początki tego buntu to być może pesymizm Schopenhauera i jego zerkanie w stronę buddyzmu, oraz nihilizm Nietzschego i jego zerkanie w stronę nowego człowieka (nadczołowieka) uwolnionego od tradycji chrześcijańskiej. Jeśli zaś były to młodzieńcze dreszcze, a nie zmięzch Zachodu, to Europa i cywilizacja zachodnia jest młoda. Jest więc przed nią najpewniej wielka przy-

¹² Muszę przyznać, że jestem z natury raczej pesymistą i malkontentem. Byłem podatny na te różne odmiany czarnych wizji. Jeszcze w drugiej połowie lat osiemdziesiątych obawiałem się restalinizacji imperium radzieckiego. Sądziłem bowiem, że tendencje odśrodkowe, coraz silniejsze w latach 80-tych w bloku wschodnim i w samym ZSRR muszą być zdławione, jeśli imperium nie ma się rozpaść. Przyjmowałem zaś jako pewnik, że władcy Kremla do tego nie dopuszczą, że będą walczyć do końca. Władzy raz zdobytej nie oddadzą nigdy (prędzej zniszczą całą ludzkość w wojnie atomowej). A skoro tak, mieli tylko jedną drogę, jedno wyjście, zrezygnować z reform, które uruchomiły tendencje odśrodkowe i odtrąbić odwrót na pozycje totalitarne. Zastosować środki radykalne, czyli terror i skrajne zamknięcie. Obawiałem się, że posiadając tak wielki aparat przemocy spróbują owej jedynej, jak sądziłem, drogi ratunku imperium, i uczynią z bloku wschodniego jedną wielką Koreę Północną. Uczęszczałem wtedy na seminarium profesora Witolda Marciszewskiego. Ja straszylem, roztaczałem ponure wizje, a on uspokajał. Powiadał, że wschodni porządek przegrywa, indywidualizm i wolność Zachodu wygrywa. Zachód jest dynamiczny i młody, Związek Radziecki zaś chwieje się ze starości i wkrótce upadnie. Opierał tę swoją wiarę, o ile dobrze pamiętam, na głębokim przekonaniu, że takie są naturalne koleiny rozwoju ludzkości. Trafna okazała się jego wiara w cywilizację zachodnią. Wolność i wielość (głęboko zakorzeniona w tradycji europejskiej) wygrała z totalną jednością i totalitarnym porządkiem (mającym swe korzenie – w większej części – w tradycji azjatyckiej). A zatem jeszcze raz Grecja pokonała Persję. Jeszcze raz Grecja wykazała swoją żywotność. To była dla mnie nauczka, mój pesymizm i malkontentwo okazały się skrajnie nietrafne. Od tej pory próbuję podzielać, wbrew moim skłonnościom, optymizm profesora Marciszewskiego. Jestem jego dłużnikiem.

szłość. A zatem – co było do udowodnienia – również filozofia jest młoda i jest przed nią najpewniej wielka przyszłość (najpewniej, bo przyszłości nie możemy być pewni).

Proponuję rozważyć jeszcze bardziej ryzykowne, jeszcze dalej idące twierdzenie. Mianowicie, że cywilizacja zachodnia jest przyszłością ludzkości (bliski jest mi bowiem – niezbyt chyba poprawny politycznie – europocentryzm, czy też zachodocentryzm). Jeśli to prawda, pytanie o przyszłość, młodość cywilizacji zachodniej jest również pytaniem o młodość ludzkości. Czy zatem ludzkość jest młoda, czy stara? Czy ludzkość ma przed sobą przyszłość? Biorąc pod uwagę czas ewolucyjny, nasz gatunek jest bardzo młody, jesteśmy na ziemi kilka sekund. Rekiny żyją na ziemi od 400 milionów lat, nasz gatunek od mniej więcej 200 tysięcy (jesteśmy więc, arytmetycznie, dwa tysiące razy młodszy od rekinów). To jednak, że jesteśmy od niedawna, nie znaczy, że jesteśmy młodzi. Być może jesteśmy potworną naroślą, złośliwym rakiem, który błyskawicznie się rozmnożył, podbił planetę i pożera własnego nosiciela, a kiedy go pożre, sam zginie (zatrzuje kulę ziemską i umrze w oparach globalnego ocieplenia, nadmiernego rozmnożenia, wojny termojądrowej, itp.). A może przeciwnie, jesteśmy bardzo młodym i zarazem najpiękniejszym kwiatem tej planety; gdyby ziemia nie urodziła ludzkości, byłaby jałowa (jak sądził, na przykład, Kant). Skoro młodość ludzkości jest związana z młodością cywilizacji zachodniej, zaś młodość cywilizacji zachodniej jest związana z młodością filozofii, to młodość ludzkości jest związana z młodością filozofii. Jeśli to wszystko prawda, wiara bądź niewiara w ludzkość, łączy się z wiarą bądź niewiarą w filozofię. Mamy zatem do wyboru pascalowską alternatywę (zakład Pascala w innej scenerii): albo uwierzymy, postawimy na młodość filozofii, a zatem i Zachodu, i ludzkości, albo postawimy na zmierzch, starość filozofii, a zatem i Zachodu, i ludzkości. Co wybrać? Skoro „nieskończony chaos oddziela nas” od prawdy¹³. Młodość czy starość? Życie czy bliska śmierć? Nasz wybór nie jest obojętny. Jeśli z góry założymy klęskę, przybliżyła to nas do klęski. Proponuję zatem wizję optymistyczną między innymi dlatego, że może ona okazać się samospełniającą się przepowiednią. Mamy tutaj nałożenie na siebie trzech „centryzmów”. Filozofocentryzm jest zawarty w europocentryzmie, europocentryzm zaś zawarty jest w antropocentryzmie; czyli – w tym wypadku – w przekonaniu, że być może ten kosmos jest dla nas.

*

Tytułowe rodzenie prawdy nawiązuje do sokratejskiej metafory majeutycznej. U Sokratesa jednak to konkretny człowiek rodzi prawdę, ja zaś proponuję

¹³ Nie wydaje mi się bowiem, aby można było naukowymi metodami zmierzyć kondycję duchową cywilizacji, a tym bardziej ludzkości.

wizję taką, że to ludzkość rodzi prawdę. Wizja ta jest zarazem optymistyczna i filozofocentryczna; ludzkość ma przed sobą jakiś cel, zaś filozofowie okazują się w takim wypadku nie dziwakami poruszającymi się na marginesie naszej cywilizacji i zadającymi dziecinnie brzmiące pytania, ale – by tak rzec – awangardą ludzkości. To oni próbują rodzić ową prawdę, podczas gdy inni zajmują się sprawami bardziej przyziemnymi. Na antypodach tej wizji mamy, jak się zdaje, wizję następującą: w przypadkowym świecie (wielki wybuch był przypadkową fluktuacją nicości), na przypadkowej planecie, pojawiła się przypadkowa istota, w której umyśle przypadkiem zapaliła się żarówka świadomości. I ta przypadkowa istota czepia się tej przypadkowej ziemi, chce przetrwać i do tego jest potrzebna wiedza i nauka (taka jest jej geneza i taka jest jej funkcja). Nie chodzi zatem o żaden poród wielkiej prawdy, a o wiedzę służącą przetrwaniu. Nie ma co marzyć o prawdzie absolutnej, wystarczy wiedza skuteczna, czyli prawdopodobna. Bezinteresowne poszukiwanie prawdy jest albo złudzeniem, albo zbędnym luksusem; marnowaniem ograniczonych zasobów energii, którą można by spożytkować w sposób bardziej pożyteczny, praktyczny, pragmatyczny. Filozofowie ze swoimi dziecinnie brzmiącymi pytaniami okazują się zbędnym balastem, co gorsza, okazują się szkodnikami odwracającymi uwagę od spraw istotnych, czyli praktycznych. W tej perspektywie wiadomość o końcu filozofii jest dobrą wiadomością.

Aby zniechęć do tej wizji i zarazem zachęcić do wizji przeciwnej, opowiem na zakończenie bajkę, którą zresztą taktuję tylko w 99% jako bajkę, czyli niepoważnie. Otóż być może w tym jeszcze tysiącleciu, a może w następnym, a może dopiero za sto tysięcy lat, albo za milion lat, urodzi się wielki filozof. Zbierze okruszyny zrozumień z całego jej biegu i nagle pojawi się tak wielki błysk zrozumienia, tak wielka jasność myśli, że prześwietli tajemnicę istnienia. Zagadka zostanie rozwiązana. I okaże się, że nie miał racji Goethe, gdy powiedział: *Wszystko jest prostsze niż można sądzić*,

A zarazem zbyt zawile by to pojąć.

I ten filozof napisze we wstępie do swojej książki tak: „Moja książka ma przekazać jedną jedyną myśl. A jednak, mimo wszelkich wysiłków, nie znalazłem krótszej drogi, by ją przekazać, niż cała ta książka. Myśl tę uważam za coś, czego pod nazwą filozofii poszukiwano bardzo długo i czego znalezienie ludziom z wykształceniem historycznym wydawało się równie niemożliwe, jak znalezienie kamienia filozoficznego”. I będzie miał (w przeciwieństwie do Schopenhauera) rację. Wtedy też – gdy pierwsze egzemplarze książki trafią do księgarń – gra się skończy. Na niebie zapali się wielka plansza z gwiazd z napisem: „*Game over*”. I rozlegnie się głos, we wszystkich ludzkich językach naraz: „Grałem z wami w chowanego i chciałem, abyście mnie szukali i oto jeden z was mnie znalazł. Ogłaszam przeto koniec gry. Chodźcie do mnie, zaczniecie odtąd prawdziwe życie”. Ostatni filozof okaże się Mesjaszem.